

JOHN
GRISHAM

Sprawiedliwość wreszcie zostanie wymierzona

BAR POD
KOGUTEM



Rozdział 1

Końcówka roku przyniosła jak zwykle atmosferę świąteczną, choć w domu Frazierów nie było specjalnie co świętować. Pani Frazier ubrała niedużą choinkę, zapakowała kilka tanich prezentów i upiekła kruche ciasteczka, których nikt tak naprawdę nie chciał jeść. No i jak co roku z głośników non stop płynęły dźwięki *Dziadka do orzechów*, do których zawzięcie nuciła w kuchni, jakby rzeczywiście miała się z czego cieszyć.

Sytuacja jednak zupełnie nie skłaniała do okazywania radości. Pan Frazier wyprowadził się z domu trzy lata wcześniej, a jego nieobecność budziła nie tyle tęsknotę, ile gryzącą niechęć, bo bardzo szybko zamieszkał ze swoją dużo młodszą sekretarką, która, jak się okazało, była już w ciąży. Porzucona, upokorzona i załamana pani Frazier wciąż jeszcze walczyła z depresją.

Louie, jej młodszy syn, przebywał w areszcie domowym po zwolnieniu za kaucją i miał przed sobą trudny rok zmagañ z oskarżeniem o handel narkotykami i pokrewne występki. Nawet nie próbował kupić matce prezentu; tłumaczył się tym, że z przyczepioną do nogi bransoletką dozoru elektronicznego nie wolno mu opuszczać domu. Ale i bez tego nikt nie oczekiwał,

by Louie myślał o kupowaniu prezentów. Ani rok temu, ani dwa lata wcześniej, gdy kostki jego nóg nie były jeszcze niczym obciążone, chłopak też nie zawracał sobie głowy prezentami.

Markowi, starszemu synowi, udało się wyrwać na święta z młyna nauki na studiach prawniczych i choć miał jeszcze mniej pieniędzy od brata, kupił matce perfumy. Kończył studia w maju przyszłego roku, w lipcu miał stanąć do egzaminu adwokackiego i we wrześniu podjąć pracę w kancelarii prawnej w Waszyngtonie – przypadkowo w tym samym miesiącu, na który wyznaczono termin rozprawy brata. Tyle że sprawa Louiego wcale nie miała trafić do sądu, i to z dwóch istotnych powodów. Po pierwsze, tajni agenci przyłapali go na gorącym uczynku sprzedaży dziesięciu paczuszek cracku i uwiecznili to nawet na nagraniu, a po drugie, ani jego, ani matki nie było stać na wynajęcie przyzwoitego adwokata. Przez całe święta oboje przygadywali Markowi, że powinien się zająć obroną brata. No bo mógłby przecież opóźnić postępowanie na tyle, by zdążyć zdać egzamin adwokacki – do ukończenia prawa zostało mu już tylko parę miesięcy – a następnie jako pełnoprawny adwokat wykorzystać jakieś formalne uchybienia, o których tyle się czyta w gazetach, i doprowadzić do wycofania oskarżenia.

W obmyślonym przez matkę i brata scenariuszu było wiele dziur, ale Mark odmówił wdawania się w dyskusję, kiedy zaś okazało się, że Louie zamierza spędzić Nowy Rok na kanapie, okupując ją przez co najmniej dziesięć godzin i oglądając kolejno siedem meczów futbolowych, Mark cichaczem wymknął się z domu i pojechał do kolegi. Wracając wieczorem i prowadząc auto w stanie wskazującym, podjął decyzję, że pora stąd uciekać. Postanowił wrócić do Waszyngtonu i spożytkować resztę ferii na rozglądanie się po firmie, w której miał niedługo podjąć pracę. Przerwa w zajęciach trwała prawie dwa tygo-

dnie, ale po dziesięciu dniach wysłuchiwanie ciągłych narzekania Louiego i płynących z głośników dźwięków *Dziadka do orzechów* Mark miał tak serdecznie dość, że nawet czekający go ostatni semestr studiów wydawał się miłą alternatywą.

Nastawił budzik na ósmą i przy porannej kawie oświadczył matce, że wraca do Waszyngtonu. Przykro mi, mam, że muszę wyjechać trochę wcześniej, niż planowałem, i że zostawiam cię samą z twoim nieudanym synem, ale muszę zniknąć. Louie nie jest moim dzieckiem, żebym miał obowiązek go wychowywać. Mam swoje własne problemy.

Pierwszym z nich był jego samochód, ford bronco, którym jeździł od czasów liceum. Licznik przestał działać przy stanie trzystu tysięcy przebiegu i zdarzyło się to w połowie college'u. Samochód wymagał pilnej wymiany pompy paliwowej, która zajmowała pierwsze miejsce na liście wielu części do wymiany. Za pomocą taśmy klejącej i spinaczy biurowych Markowi udawało się przez ostatnie dwa lata utrzymać silnik, układ napędowy i hamulce na chodzie, ale z pompą paliwową poniósł klęskę. Wprawdzie wciąż działała, lecz ze znacznie obniżoną wydajnością, przez co bronco rozpędzał się na płaskim terenie maksymalnie do siedemdziesięciu paru kilometrów na godzinę. By uniknąć rozjechania na autostradach i drogach szybkiego ruchu przez osiemnastokołowe smoki, Mark wybierał boczne drogi w wiejskim Delaware i na Wschodnim Wybrzeżu. W rezultacie dwugodzinna podróż z Dover do centrum Waszyngtonu zajmowała mu dwa razy dłużej, niż powinna.

Miał dzięki temu dużo czasu na dumanie o swych innych problemach. Numerem dwa na liście był dławiący go dług studencki. Kończąc college, miał zaciągnięte kredyty w wysokości sześćdziesięciu tysięcy dolarów i był bez pracy. Ojciec był wprawdzie w tym czasie szczęśliwy z nową żoną, ale tak jak syn tonął w długach i próbował zniechęcić go do dalszej nauki.

– Cholera, chłopcze, cztery lata nauki i masz sześćdziesiąt kawałków w plecy – mówił. – Opuść, zanim jeszcze bardziej popłyniesz.

Mark uważał jednak, że słuchanie ojca w sprawach finansowych byłoby głupotą, więc przez dwa lata pracował dorywczo tu i tam, nalewając drinki, dostarczając pizzę i jednocześnie użerając się z wierzycielami. Teraz nawet nie bardzo umiał powiedzieć, skąd się wziął pomysł studiów prawniczych, pamiętał tylko podsłuchaną przypadkiem rozmowę dwóch facetów przy barze, którzy omawiali jakieś poważne sprawy, nie przestając ostro tankować. Mark stał za barem, w lokalu było pustawo i po czwartej kolejce wódki z sokiem żurawinowym goście zaczęli mówić tak głośno, że trudno było ich nie słuchać. Spośród wielu usłyszanych ciekawostek dwie utkwiły mu mocno w pamięci: „Wielkie kancelarie prawne w Waszyngtonie przyjmują ludzi jak szalone” i „Pensje zaczynają się od stu pięćdziesięciu kawałków rocznie”.

Niedługo potem spotkał kolegę z college’u, który był studentem pierwszego roku prawa w Foggy Bottom w Waszyngtonie. Roztoczył przed Markiem plany szybkiego ukończenia studiów w ciągu dwóch i pół roku i podjęcia pracy w firmie prawniczej z pensją idącą w grube tysiące. Władze federalne oferowały kredyty studenckie każdemu, kto spełniał wymogi, co oznaczało, że wprawdzie skończy studia z gigantycznym długiem, ale przy takich zarobkach spłaci go po pięciu latach. Kolega uważał to za rozsądne rozwiązanie i zaciągnięcie długu nazywał „inwestowaniem w siebie”, bo dzięki temu zapewniał sobie doskonałe zarobki na przyszłość.

Mark połknął przynętę i rozpoczął przygotowania do egzaminu wstępnego. Osiągnął na nim niezbyt imponujący wynik 146 punktów, ale to – tak jak jego mizerna średnia 2,8 z college’u – wyraźnie nie zraziło komisji rekrutacyjnej w Foggy

Bottom. Przyjęto go z otwartymi ramionami, jego wnioski o kredyt studencki zostały bez trudu zaakceptowane i w rezultacie Departament Edukacji przekazywał co roku kwotę sześćdziesięciu pięciu tysięcy dolarów na konto szkoły. Żałosna rzeczywistość na semestr przed ukończeniem studiów była taka, że jego zadłużenie za czas nauki w college'u i na wydziale prawa wynosiło łącznie z odsetkami dwieście sześćdziesiąt sześć tysięcy dolarów.

Następnym problemem było zatrudnienie, okazało się bowiem, że rynek pracy wcale nie jest tak chłonny, jak Mark sądził. Nie był też aż w takim rozkwicie, jak by to wynikało z kolorowych prospektów reklamowych Foggy Bottom czy wręcz oszukańczej strony w internecie. Absolwenci renomowanych uczelni prawniczych z najwyższej półki rzeczywiście wciąż dostawali oferty pracy za godne pozazdroszczenia wynagrodzenie, ale Foggy Bottom zdecydowanie do nich się nie zaliczała. W końcu udało mu się znaleźć pracę w średniej wielkości kancelarii prawnej, specjalizującej się w „relacjach państwowych”, co w przekładzie na ludzki język znaczyło niewiele więcej niż lobbing. Jego pensji wyjściowej na razie nie ustalono, bo zarząd firmy miał się zebrać w początkach stycznia, dokonać przeglądu wyników finansowych za rok ubiegły i dopiero na tej podstawie ustalić politykę płacową na rok bieżący. Za kilka miesięcy Mark był umówiony ze swym „doradcą kredytowym” na poważną rozmowę na temat restrukturyzacji swego zadłużenia i uzgodnienie sposobu wybrnięcia z tego bagna. Niemniej doradca już zdążył wyrazić zaniepokojenie tym, że Mark do dziś nie wie, ile będzie zarabiał. Marka też to niepokoiło, zwłaszcza że żadna z osób poznanych w jego przyszłej firmie nie wzbudziła w nim zaufania. I choć nie przestawał się łudzić, w głębi duszy czuł, że jego przyszłość jest daleka od stabilizacji.

Kolejnym problemem był czekający go egzamin adwokacki. W związku z sytuacją na rynku pracy waszyngtoński egzamin zaliczał się do najbardziej wymagających w kraju i zastraszająco wysoki procent absolwentów Foggy Bottom go oblewał. Tymczasem ci, co kończyli renomowane uczelnie, radzili sobie na nim dobrze; w ubiegłym roku wskaźnik powodzenia wyniósł 91 procent dla Georgetown i 89 procent dla Uniwersytetu George'a Waszyngtona, ale tylko żałosne 56 procent dla Foggy Bottom. By zdać egzamin, Mark powinien zasiąść do nauki od razu na początku stycznia i ślęczeć nad książkami przez następne sześć miesięcy.

Ale brakowało mu do tego zapału, zwłaszcza w zimne, ponure i przygnębiające dni. Chwilami ciężar zadłużenia przygniatał go jak betonowe bloczki przytroczone do pleców. Chodzenie stawało się udręką. Uśmiechanie się sprawiało trudność. Żył w biedzie, a jego przyszłość, nawet przy perspektywie pracy, rysowała się mgliście. Większość jego kolegów ze studiów miała zaciągnięte kredyty i żadnej pracy. Pamiętał, że już na pierwszym roku słychać było narzekania, po czym z każdym semestrem robiło się coraz gorzej i narastała atmosfera przygnębienia i podejrzliwości. Sytuacja na rynku pracy systematycznie ulegała pogorszeniu. Wyniki egzaminów adwokackich absolwentów Foggy Bottom wprawiały w zakłopotanie. Długi rosły. Na zajęciach trzeciego roku coraz częściej dochodziło do scysji studentów z wykładowcami. Dziekan nie wyściubiał nosa ze swego gabinetu. Blogerzy wyżywali się na szkole i stawiali zaczepne pytania: „Czy to jest przekręt?”, „Czy wpuszczono nas w maliny?”, „Gdzie się podziały nasze pieniądze?”.

Wszyscy znajomi Marka w większym czy mniejszym stopniu byli zdania, że po pierwsze, Foggy Bottom jest uczelnią poniżej wymaganego poziomu; po drugie, składa zbyt wiele obietnic bez pokrycia; po trzecie, kosztuje za drogo; po czwar-

te, zachęca do zaciągania zbyt wysokich kredytów; po piąte, przyjmuje za słabych kandydatów, którzy tak naprawdę nie mają czego szukać na studiach prawniczych; a po szóste, jej absolwenci są nieodpowiednio przygotowani do egzaminu adwokackiego lub są za głupi, by go zdać.

Krążyły pogłoski, że rekrutacja spadła o pięćdziesiąt procent. Taki spadek zainteresowania szkołą bez wsparcia ze strony władz oświatowych i dotacji państwowych musiał oznaczać różnego rodzaju bolesne cięcia kosztów, w wyniku czego zła uczelnia mogła tylko jeszcze bardziej się pogorszyć. Marka Fraziera i jego kolegów z roku akurat to specjalnie nie bolało. Jakoś przebijdują ostatnie cztery miesiące zajęć i z radością opuszczają Foggy Bottom, by już nigdy do niej nie powrócić.



Mark mieszkał w pięciopiętrowym budynku, który w ciągu osiemdziesięciu lat istnienia uległ znaczącej degradacji, ale czynsz był niski i to przyciągało studentów George'a Waszyngtona i Foggy Bottom. Początkowo kamienica nosiła nazwę Domu Coopera, ale po trzech dekadach okupowania jej przez studenterię przyjęła się skrócona nazwa Coop*. Ponieważ windy rzadko działały, Mark wspiął się po schodach na trzecie piętro i wszedł do swego ciasnego, skromnie umeblowanego mieszkanka o powierzchni czterdziestu sześciu metrów kwadratowych, za które płacił osiemset dolarów miesięcznie. Po ostatnim egzaminie coś mu strzeliło do głowy i przed wyjazdem na święta dokładnie je wysprzątał. Zapaliwszy światło, z przyjemnością stwierdził, że wszystko jest na swoim miejscu. I nie było powodu, by mogło być inaczej. Właściciel tej rudery nigdy się w niej nie pokazywał. Mark

* *Coop* (ang.) – slangowa nazwa więzienia lub aresztu.

rozpakował torby i z zaskoczeniem wsłuchiwał się w panującą ciszę. Zwykle dom był pełen studentów i przez cienkie ściany przenikały różne hałasy. Muzyka, odgłosy telewizji, kłótnie, śmiechy, awantury przy pokerze oraz dźwięki gitar, a nawet puzonu palanta z czwartego piętra, który pierdział na nim tak, że cały dom drżał w posadach, stanowiły nieodłączny akompaniament. Ale nie dziś. Wszyscy rozjechali się do domów na święta i w budynku panowała głucha cisza.

Po półgodzinie Mark zaczął się nudzić i wyszedł z domu. Szedł New Hampshire Avenue i czuł, jak pędzony wiatrem ziać przenika jego cienką kurtkę i stare spodnie khaki. Coś mu kazało skręcić w Dwudziestą Pierwszą i sprawdzić, czy jego szkoła jest otwarta. W mieście, w którym nie brakowało okropnych nowoczesnych budynków, siedzibie Foggy Bottom i tak udawało się kłuć w oczy wyjątkową brzydotą. Był to powojenny ośmiokondygnacyjny budynek z wypłowiałej żółtej cegły, z niesymetrycznymi skrzydłami bocznymi, co zapewne świadczyło o próbie oryginalności architektonicznej projektanta. Pierwotnie znajdowały się tu jakieś biura, potem jednak porozwalano ściany działowe i utworzono ciasne sale wykładowe na czterech niższych kondygnacjach. Na piątej mieściła się biblioteka w postaci labiryntu sporych nor króliczych z regałami pełnymi rzadko dotykanych ksiąg i ścianami ozdobionymi portretami nikomu nieznanym sędziów i wykładowców prawa. Administracja szkoły zajmowała szóste i siódme piętro, na ostatnim – ósmym – piętrze, możliwie jak najdalej od studentów, mieściły się gabinety kierownictwa szkoły, w tym także schowany w najdalszym kącie gabinet dziekana, którego ten prawie w ogóle nie opuszczał.

Drzwi frontowe nie były zamknięte i Mark wszedł do pustego holu. Wprowadzie z przyjemnością powitał panujące w nim ciepło, ale wewnątrz jak zwykle zrobiło na nim przy-

gnębiające wrażenie. Całą jedną ścianę zajmowała ogromna tablica z przyczepionymi do niej niezliczonymi komunikatami i ogłoszeniami, w tym kilkoma plakatami reklamującymi studia za granicą i masą ręcznie wypisanych ofert sprzedaży książek, rowerów, biletów i konspektów wykładów, korepetycji i lokali do wynajęcia. Nad całą szkołą wisiała groźba egzaminu adwokackiego jak ciemna gradowa chmura i na tablicy nie brakowało ofert zachwalających kursy powtórkowe do egzaminu. Pewnie gdyby się uparł, znalazłby też kilka ofert zatrudnienia, ale ostatnio zdarzało się to w murach Foggy Bottom coraz rzadziej. W rogu tablicy natknął się na ulotkę, którą już znał – z propozycją dalszych kredytów studenckich. W kącie holu mieścił się niewielki barek kawowy z automatami z napojami, ale najwyraźniej na czas ferii wszystko zostało wyłączone i zamknięte.

Opadł na mocno sfatygowany skórzany fotel i zanurzył się w ponurej atmosferze szkoły. Czy to naprawdę uczelnia, czy tylko drukarnia dyplomów? Odpowiedź na to pytanie stawała się coraz bardziej oczywista i Mark po raz tysięczny pożałował, że w ogóle wszedł przez te drzwi jako naiwny i niewinny student pierwszego roku. Teraz, niemal trzy lata później, ugiął się pod ciężarem zadłużenia, którego spłacenia w ogóle sobie nie wyobrażał. Jeśli w tym tunelu było jakieś światelko, on go nie dostrzegał.

I dlaczego ktoś nazwał uczelnię „mglistym dnem”? Jakby wkuwanie prawa nie było wystarczająco odstrasżające, dwadzieścia lat temu jakiś dowcipniś nadał uczelni dodatkowo odstrasżającą nazwę. Ów dowcipniś, dziś już nieżyjący, sprzedał potem szkołę grupie inwestorów z Wall Street, do których należała cała sieć uczelni prawniczych. Mówiło się o tych

* *Foggy bottom* (ang.) – mgliste dno.

placówkach, że choć przynoszą godziwe zyski, nie są znane z wypuszczania wybitnych prawników.

Jak w ogóle się sprzedaje i kupuje szkoły prawnicze? Dla Marka stanowiło to nadal zagadkę.

Usłyszał jakieś głosy i w pośpiechu opuścił budynek. Poszedł dalej New Hampshire aż do Dupont Circle, gdzie wstąpił do księgarni Kramer Books, żeby się rozgrzać i wypić kawę. Generalnie wszędzie chodził pieszo, bo jego bronco za bardzo szarpało i gasło w ulicznym ruchu. Trzymał samochód na placu za Coop, zawsze z kluczami w stacyjce, ale niestety jak dotąd nikt się nie skusił, żeby go ukraść.

Rozgrzany ruszył na północ Connecticut Avenue. Sześć przecznic dalej kancelaria prawna Ness Skelton zajmowała kilka pięter w nowoczesnym biurowcu niedaleko hotelu Hinkley Hilton. Podczas ubiegłorocznych wakacji Markowi udało się wyprosić w niej letnią praktykę za stawkę poniżej urzędowej płacy minimalnej. Letnie praktyki w takich wielkich firmach służyły oswajaniu najlepszych studentów z życiem prawnika i nie wymagano od nich zbyt wiele pracy. Praktykantów, których obowiązywał bardzo łagodny reżim biurowy, kuszono dodatkowo biletami na mecze i zaproszeniami na koktajle w ogrodach wspaniałych rezydencji bogatych wspólników. Wszystko po to, by ich złowić, namówić do podpisania umowy i tuż po dyplomie wrzucić w tryby maszynki mielącej biurowe mięso przez sto godzin tygodniowo.

Ale nie w Ness Skelton. Ta firma zatrudniała zaledwie pięćdziesięciu prawników i było jej daleko do czołówki kancelarii prawnych w mieście. Klientami były stowarzyszenia branżowe i pracownicze, takie jak Forum Plantatorów Soi, Związek Emerytowanych Pracowników Poczty, Komitet Wołowiny i Jagnięciny, Krajowe Stowarzyszenie Firm Asfaltowych, Stowarzyszenie Niepełnosprawnych Pracowników Kolei, a także

kilka firm z przemysłu obronnego, które pragnęły uszczknąć coś dla siebie. Eksperci Ness Skelton – jeśli w ogóle tacy byli – utrzymywali kontakty z Kongresem, a firmowy program praktyk letnich nastawiony był bardziej na wykorzystywanie taniej siły roboczej niż na wyszukiwanie zdolnych studentów do przyszłej pracy. Mark pracował jak wół i zmagał się jak mógł z ogłupiającą pracą. W rezultacie, gdy pod koniec lata dostał propozycję, którą można było uznać za coś w rodzaju oferty pracy – pod warunkiem zdania egzaminu adwokackiego – nie wiedział, czy się z tego ucieszyć, czy rozplakać. Ale i tak ją przyjął – nie miał nic innego w zanadrzu – i z dumą stał się jednym z nielicznych studentów Foggy Bottom z zapewnioną przyszłością. Przez całą jesień delikatnie naciskał swego opiekuna w firmie o sprecyzowanie warunków przyszłego zatrudnienia, lecz niczego nie wskórał. Być może nastąpi fuzja. Być może dojdzie do rozbicia firmy na mniejsze części. Być może wydarzą się różne inne rzeczy, ale podpisanie z nim umowy nie było jedną z nich.

Więc czekał. Popołudniami, w soboty, w dni świąteczne, kiedy tylko zaczynał się nudzić, wpadał do firmy – zawsze ze sztucznie radosnym uśmiechem na twarzy i równie udawaną gorliwością, by w czymś pomóc. Nie miał pewności, czy mu to w czymś pomoże, zakładał jednak, że nie zaszkodzi.

Jego opiekunem był niejaki Randall, prawnik z dziesięcioletnim stażem, o krok od zostania wspólnikiem firmy. Prawnikiem, który po dziesięciu latach pracy w Ness Skelton nie kwalifikował się na wspólnika, dyskretnie pokazywano drzwi. Randall był absolwentem Uniwersytetu George’a Waszyngtona, co w kategoriach rankingowych plasowało go szczebel niżej od tych, którzy ukończyli Georgetown, ale kilka szczebli wyżej od absolwentów Foggy Bottom. Hierarchia była pod tym względem jasna, a jej najbardziej zaciekłymi obrońcami byli

absolwenci George'a Waszyngtona. Czuli się upokorzeni tym, że banda z Georgetown patrzy na nich z góry, i z tym większą zawziętością dawali odczuć swoją wyższość wszystkim absolwentom Foggy Bottom. W firmie aż się roiło od różnego rodzaju klik i układów i Mark wielokrotnie się zastanawiał, jak sobie z tym poradzi. Pracowało w niej już dwóch absolwentów jego uczelni, lecz obaj byli tak zajęci dystansowaniem się od dawnej szkoły, że nie mieli czasu na wyciągnięcie pomocnej dłoni do Marka. Prawdę mówiąc, ignorowali go nawet bardziej niż inni.

Często krzywił się pod nosem na stosunki panujące w firmie, był jednak skłonny pogodzić się z tym, że w każdym zawodzie obowiązuje specyficzna hierarchia. Poza tym za bardzo zajmowało go chronienie własnej skóry, by zastanawiać się, kto gdzie kończył prawo. Miał na głowie inne problemy.

Wysłał wcześniej do Randalla maila, że wpadnie do biura sprawdzić, czy może się do czegoś przydać. Ten powitał go krótkim burknięciem „Już wróciłeś?”.

Jasne, Randall, a tobie jak minęły święta? Wspaniale cię znów widzieć.

– Znudziło mnie już to świętowanie. Co słychać?

– Dwie sekretarki rozłożyła grypa – odparł Randall, wskazując na stertę papierów grubości trzydziestu centymetrów. – Potrzebuję po czternaście kopii z każdego, ułożonych i spiętych w komplety.

No pewnie, wracamy do kopiarni.

– Oczywiście – powiedział Mark z takim entuzjazmem w głosie, jakby już nie mógł się doczekać włączenia kopiarki. Zaniósł stertę dokumentów do podziemnego lochu z rzędem kopiarek i następne trzy godziny spędził na bezmyślnym zajęciu, za które nie dostanie ani centa.

Niemal zatęsknił za Louiem i jego bransoletką dozoru elektronicznego na nodze.

Rozdział 2

Dla Todda Lucero inspiracją do pójścia na studia prawnicze była, tak jak dla Marka, podsłuchana rozmowa o wyraźnie alkoholowym charakterze. Od trzech lat był barmanem w barze Pod Starym Rudym Kotem, wódopoju w stylu angielskiego pubu, cieszącym się popularnością wśród studentów George’a Waszyngtona i Foggy Bottom. Po skończeniu college’u we Frostburgu wyjechał z Baltimore do Waszyngtonu w poszukiwaniu pracy. Gdy jego wysiłki skończyły się niepowodzeniem, zaczął się dorywczo Pod Starym Rudym Kotem, po czym szybko zdał sobie sprawę, że napełnianie kufli i nalewanie mocniejszych drinków bardzo mu pasuje. Pokochał życie barowe, odkrył w sobie talent do pogaduszek z klientami i umiejętność łagodzenia scysji. Szybko zyskał popularność i był po imieniu z setkami bywalców.

W ciągu minionych dwóch i pół roku wielokrotnie zmagał się z chęcią rzucenia studiów i zrealizowania marzenia o własnym barze, jednak jego ojciec był zdecydowanie temu przeciwny. Pan Lucero był policjantem w Baltimore i od zawsze namawiał syna do zdobycia zawodu z dyplomem uniwersyteckim. Tyle że namawianie nie szło niestety w parze z pomocą

finansową i Todd, tak jak Mark, wpadł w pułapkę studenckiego zadłużenia.

Trafili na siebie od razu pierwszego dnia, podczas wstępnego zapoznawania się z uczelnią, gdy obaj widzieli przed sobą wielkie kariery prawnicze i jeszcze większe zarobki, wykazując się taką samą naiwnością jak reszta trzystu pięćdziesięciu pierwszoroczników. Po pierwszym roku Todd postanowił zrezygnować, ale ojciec strasznie na niego nawrzeszczał i Todd się ugiął. Obowiązki barmana nie zostawiały czasu na pukanie do różnych drzwi w Waszyngtonie i szukanie miejsca na letnią praktykę. Postanowił rzucić studia po drugim roku i powstrzymać przyrost długu, jednak jego doradca kredytowy zdecydowanie mu to odradził. Uświadomił mu, że dopóki studiuje, nie musi się borykać z bezwzględnym reżimem spłat zadłużenia, i że bardziej mu się opłaci pożyczać dalej, skończyć studia i znaleźć dobrze płatną pracę, która – przynajmniej w teorii – pozwoli szybko wyjść z długów. Teraz, kiedy do skończenia studiów został mu już tylko jeden semestr, Todd doskonale wiedział, że takiej pracy po prostu nie ma.

Gdyby wtedy pożyczył z banku te same sto dziewięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów i otworzył własny bar, dziś tarzałby się w pieniądzach i wiódł barwne życie.



Mark przyszedł do Rudego Kota tuż po zmroku i usiadł na swym ulubionym stołku przy końcu baru. Stuknęli się z Toddem pięściami.

– Fajnie cię widzieć, stary – powiedział Mark.

– Ciebie też. – Todd przysunął mu oszroniony kufel lekkiego piwa. Jego status w barze pozwalał mu stawiać wszystkim, którym chciał, i Mark już od lat nie płacił za drinki.

Studenci rozjechali się do domów na ferie i w barze było pustawo.

– No to co u ciebie? – spytał Todd, opierając się łokciami o ladę.

– Spędziłem uroczne popołudnie w drogim starym Ness Skelton na kopiowaniu i sortowaniu makulatury, której nikt nigdy nie będzie czytał. Kolejne durne zadanie. Nawet personel pomocniczy patrzy na mnie z góry. Nienawidzę tego miejsca. Nadal nie raczyli podpisać ze mną umowy.

– Nie masz jeszcze umowy?

– Nie, a obraz staje się coraz bardziej mglisty.

Todd upił łyk z kubka trzymanego pod ladą. Nawet status pierwszego barmana nie upoważniał go do picia podczas pracy, ale właściciela akurat nie było.

– To jak minęły święta w domu Frazierów? – spytał.

– Ho, ho, ho. Wytrzymałem dziesięć żalosnych dni i zwiąłem. A u ciebie?

– Trzy dni, potem obowiązki wezwały mnie do powrotu. Co u twojego brata?

– Ma wciąż poważne kłopoty, nadal grozi mu odsiadka. Powinienem mu współczuć, ale trudno współczuć komuś, kto przez pół dnia śpi, a drugą połowę spędza na kanapie, oglądając *Sędzię Judy* i użalając się na bransoletkę dozoru elektro-nicznego na nodze. Biedna mama.

– Jesteś dla niego strasznie surowy.

– I tak niewystarczająco. Na tym polega jego problem. Nikt nigdy nie dobrał mu się do skóry. Złapali go z prochami, kiedy miał trzynaście lat. Zrzucił winę na kolegę i oczywiście rodzice przybiegli mu na pomoc. Nigdy nie ponosił za nic winy. Aż do teraz.

– Cholera, nie wyobrażam sobie mieć brata w kiciu.

– No, to głupia sytuacja. Chciałbym mu pomóc, ale nie ma szans.

– O ojca nawet nie pytam.

– Nie widziałem się z nim ani nie rozmawiałem przez telefon. Nie przysłał nawet kartki na święta. Ma pięćdziesiąt lat i jest dumnym tatusiem trzylatka, więc pewnie musiał odgrywać przed nim Świętego Mikołaja. Zwalił pod choinką stertę zabawek i uśmiechał się jak idiota, a dzieciak z piskiem zbiegał ze schodów. Koszmar.

Para młodych ludzi weszła do baru i Todd przeszedł wzdłuż lady, by ich obsłużyć. Mark wyjął telefon i sprawdził wiadomości.

– Widziałeś już jakieś oceny? – spytał Todd po powrocie.

– Nie. Ale co za różnica? I tak wszyscy jesteśmy najlepsi.

Oceny w Foggy Bottom były przedmiotem żartów. Dla reputacji szkoły było ważne, by opuszczający ją absolwenci mieli czym się pochwalić, więc profesorowie sypali piątkami i czwórkami jak z rogu obfitości. Na tej uczelni nikt nie oblewał egzaminów końcowych, co oczywiście rodziło wśród studentów lekceważący stosunek do nauki, a to z kolei podważało sens współzawodnictwa i mierni studenci stawali się jeszcze bardziej mierni. Nic dziwnego, że późniejszy egzamin adwokacki był takim wyzwaniem.

– A poza tym chyba sobie nie wyobrażasz, że nasi suto opłacani profesorowie będą w czasie ferii ślęczeli nad wystawianiem ocen – dodał Mark.

Todd pociągnął następny łyk i pochylił się nad barem.

– Mamy większy problem – mruknął.

– Z Gordym?

– Z Gordym.

– Tego się bałem. Wysłałem mu esemesa i próbowałem dzwonić, ale ma wyłączony telefon. A co się dzieje?

– Niedobrze. Wygląda na to, że pojechał na ferie do domu i święta zeszły mu na kłótniach z Brendą. Ona życzy sobie wielkiego ślubu w kościele z tysiącem zaproszonych gości, a Gordy w ogóle nie chce się żenić. Jej matka ma w tej sprawie dużo do powiedzenia, jego matka nie rozmawia z jej matką i cała sprawa wisi na włosku.

– Ślub jest piętnastego maja, Todd. I o ile dobrze pamiętam, jesteśmy obaj proszeni na drużbów pana młodego.

– No więc ja bym na to nie stawiał. Wrócił już i przestał brać leki. Zola była tu dziś po południu i poskarżyła się.

– Jakie leki?

– To długa historia.

– Jakie leki?

– On ma dwubiegunówkę, Mark. Zdiagnozowano ją już parę lat temu.

– Żartujesz?

– Jak mógłbym żartować z czegoś takiego? Ma chorobę dwubiegunową i Zola mówi, że odstawił lekarstwa.

– Czemu miałyby to przed nami ukrywać?

– Na to nie umiem odpowiedzieć.

Mark pociągnął długi łyk piwa i pokręcił głową.

– To Zola już wróciła? – spytał.

– Tak, najwyraźniej ona i Gordy przyspieszyli powrót o parę dni, żeby się sobą nacieszyć, choć nie jestem pewien, czy aż tak bardzo się cieszą. Zola twierdzi, że odstawił leki jakiś miesiąc temu, w trakcie nauki do egzaminów końcowych. Jednego dnia jest w euforii i skacze pod sufit, następnego popada w otępienie, sączy tequilę i pali trawkę. I plecie jakieś bzdury. Mówi, że chce rzucić studia i uciec na Jamajkę, oczywiście z Zolą. Ona się boi, że Gordy może popełnić jakieś głupstwo i zrobić sobie coś złego.

– Głupi jest. Od dawna jest zaręczony z ukochaną z liceum,

naprawdę fajną dziewczyną, która w dodatku ma forszę. A on uganiania się za Afrykanką, której rodzice i bracia przebywają w naszym kraju jako nielegalni imigranci, i to teraz, kiedy wokół nielegalnych jest tyle szumu. Koleś naprawdę jest głupi.

– Gordy ma kłopoty, Mark. Od paru tygodni tonie i naprawdę potrzebuje naszej pomocy.

Mark odsunął od siebie piwo, ale tylko na parę centymetrów, i splótł dłonie za głową.

– Jakbyśmy nie mieli dość własnych kłopotów. I niby jak mamy mu pomóc?

– Ty mi powiedz. Zola próbuje go pilnować i chce, żebyśmy przyszedli dziś wieczór.

Mark parsknął śmiechem i łyknął piwa.

– Co cię tak śmieszy? – obruszył się Todd.

– Nic, ale wyobrażasz sobie ten skandal w Martinsburgu, jeśli się rozejdzie, że Gordonowi Tannerowi, którego ojciec jest diakonem w miejscowym kościele, a narzeczona córką znanego lekarza, odbiło, rzucił studia prawnicze i uciekł na Jamajkę z afrykańską muzułmanką?

– Naprawdę uważasz, że to zabawne?

– Musisz się bardziej postarać. Bo to śmieszne jak cholera – powiedział Mark, ale sam przestał się śmiać. – Słuchaj, Todd, nie możemy zmusić go do łykania lekarstw. Jeśli spróbujemy, nakopie nam obu do tyłków.

– On potrzebuje naszej pomocy. Kończę dziś o dziewiątej i pojedziemy tam.

Przy barze usiadł mężczyzna w eleganckim garniturze i Todd podszedł, by przyjąć zamówienie. Mark nie ruszył się. Sącząc piwo, popadł w jeszcze większą zadumę.